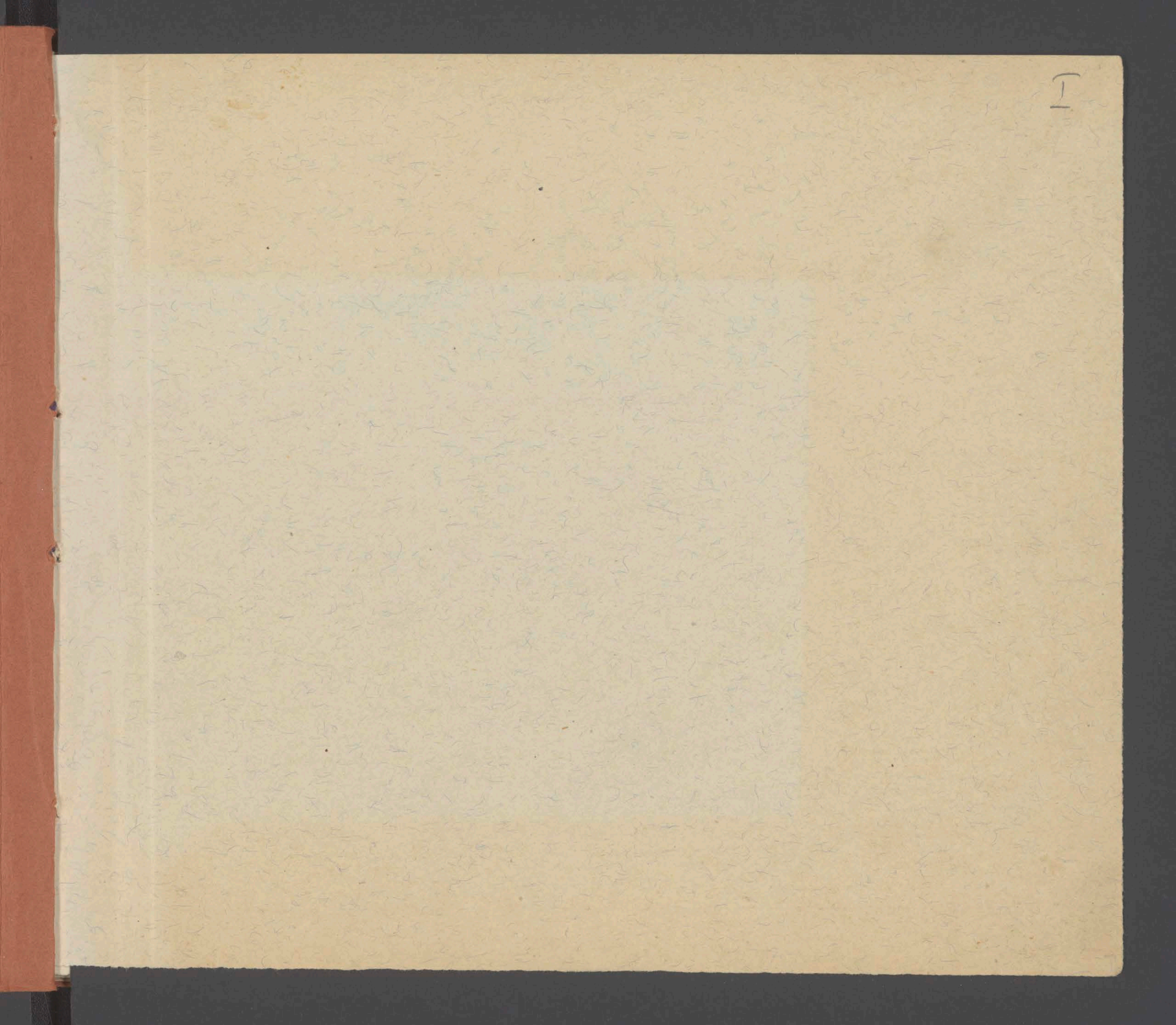
Rok
1863. –

VII.





1.

Rok 1863.

Roku tego, który tak krwawo zapisał się w dziejach naszego nieszczęśliwego narodu, pociągając za sobą tak liczne ofiary, ucisk i wygnaństwo na lat dziesiątki, historycznie opisywać nie będę, boć nie umiałabym. Chcę tylko zaznaczyć, jak się życie nasze domowe w owym ciężkim czasie ułożyło. Kraków ożywił się niezmiernie napływem szlachty z Kongresówki i młodzieży, organizującej się do walki z Moskalem. Austryacy, zawsze fałszywi i dwulicowi, jak ich państwowy orzeł czarny, patrzyli z początku niby przez palce na czynione tu przygotowania... Z bliższych okolic zjeżdżało na po-

był dłuższy obywatelstwo, zwłaszcza kobiety
z dziećmi dla większego bezpieczeństwa. Przyby-
ła też do nas ciotka Kucieńska z dwoma cór-
kami, starszą zamężną Henrykową Chrzanowską
ze Szczodrkowic koło Ojcowa. Parterowe mieszkanie
brata mojego przeznaczył ojciec na kwaterę dla
powstańców to wychodzących to powracających
na czas jakiś dla odpoczynku. Trafialiśmy
jakoś zawsze na ludzi inteligentnych, „z lepszych
domów", że wymienię tu tylko braci Huberta
i Gustawa Dębskich i Jurczeliego z Piotrkowa,
Feliksa Manna z Poznańskiego. A iluż to in-
nych gościło w domu naszym, których na

oczy nie widziałam i nazwisk ich nie pamiętam a pamiętać o ich potrzebach ludzkość nakazywała. Jak biblijna Marta gorszą część obrałam, gdyż nie wyprzedałam ani odwiedzałam więzionych na Zamku, nie brałam udziału w zebraniach zakazanych, choć w duszy tak jak inne moje znajome panny czułam żywy zapał dla sprawy narodowej. Widocznie przeznaczeniem mojem było ulżywać niedoli zbiedzonych walką. Tyle upragniony fortepian spoczął a przykryty ceratą jako największa powierzchnia służył do przykrawania bielizny grubszej, której szycie wymigowało z rąk kobiet piękne, misterne roboty. Każda wolniej-

za chwila poświęcona była skubaniu szarpi, którą skrapiała nieraz łza jakiejś zakochanej panienki... Wszelkie zapasy starszej bielizny wyczerpały się w domach, trzeba było nowe płótno przepierać na skubanki. Były dni w moim domu, że oddać było potrzeba bielizny ojca i brata, a nawet i moje nocne koszule, obcięte na krótko wędrowały na kwatery na parterze a powstańczą bieliznę w rozkładzie będącą wywoził stróż [illegible] na błonie i palił.

Wśród tej pracy, przeplatanej porywami nadziei lepszej przyszłości, to mór uczuciem

depresyi w razie złych z pola walki wiadomości, upływało nam życie w gorączce, szarpiącej nerwy.
W końcu r. 1862. bawiąca stale w Paryżu siostra stryjeczna mej matki, Kamilla Biernacka, poczęła nas zasypywać listami z prośbą, abyśmy użyli całego naszego wpływu na syna jej jedynaka, Stanisława, będącego na studyach w Krakowie, aby go powstrzymać od udziału w gotującej się w Polsce zawierusze. Było to pozytnie[?] żadanie wobec ducha, jaki ówczesną młodzież ożywiał i ojciec podjąć się tegoż nawet nie próbował. W początku stycznia 1863 r. zjawił się u nas p. Roman Radoliński, obywatel

6.

z Pomańskiego, mający za żonę siostrę Czesława Biernackiego, wysłał ciotki Kamilli, w misyi od niej, aby za wszelką cenę wyrwał jej jedynaka z Krakowa. Pan Radoliński, piękny typ arystokraty, wielkoświatowych manier, konferował dnia z ojcem moim w sprawie swego poselstwa, zasięgając rady jego. Ojciec był zdania, że nalegania na chłopca odniesie wprost przeciwny skutek, wreszcie zmudzony już trochę orzekł żartobliwie: „Każ pan chłopaka zamknąć do kozy." Jakoż p. Radoliński udał się do dyrektora policyi Englischa, i Staś dostał się na Wawel. Było mu tam nieźle, bo chłopiec bogaty mógł ulżyć swojemu losowi, otrzymując pożywienie

i dobrej jadłodajni. Uspokojony p. R. wysłał do Paryża telegram, zawiadamiający p. Bierniacką o zabezpieczeniu syna i uradowany wyjechał z Krakowa.

W dniu 19 lutego z rana poczciwy nasz stróż Stutek wpadł do mnie z wiadomością, że na parterze, na schodkach, prowadzących do mieszkania brata mojego leży jakiś powstaniec, śpiący czy nieżywy a może zemdlony. Porwałam środki trzeźwiące i butelkę starego wina i zbiegłam na dół. Biedaczysko w podartej odzieży, zabłocony straszliwie leżał twarzą do ziemi bez poruszenia. Kiedy go Stutek podniósł trochę, osłupiałam ze zdziwienia poznałam Stasia Bierniackiego! Ze słowami:

„Wracam z pod Miechowa — dajcie mi się wy-
spać!” mruknął znowu na schodki. Wmówiłam
w niego szklaneczkę wina, które chciwie wypił.
Dobrzy sąsiedzi pomogli w zaprowadzeniu osłabio-
nego do pokoju. Mietek przyniósł z niedalekie-
go mieszkania Stasia bieliznę i ubranie, i
ułożył go w łóżku, gdzie przespał do dnia na-
stępnego. — O pogromie krakowskiej przeważnie
młodzieży pod Miechowem krążyły już po
mieście wieści, więc zapanował niepokój i
przygnębienie. Staś B. był pierwszym, któremu
udało się przedostać do Krakowa, oblegano więc
dom nasz, aby zasięgnąć wiadomości bliższych
o przebiegu i wyniku strasznej walki. Niestety —

wieści to były tragiczne! Moskale, zajawszy w tajemnicy miasteczko, z okien domów piętrowych w ciasnej ulicy prażyli ogniem polską jazdę a pod wzgórzem cmentarza ukryci w kaplicy, wystrzelali usiłujących zająć wzgórze powstańców, kwiat naszej młodzieży. Padli wówczas: Emanuel Moszyński, Jan Kanty Kaczmarski, Siemieński, Tondkowicz, Giebułtowski, Szymonowicz i wielu, wielu innych. Kraków okrył się żałobą. Zawrzało oburzenie na Kurowskiego, którego nawet o zdradę pomawiano, że zamiast pójść prosto z obozu w Ojcowie pod Miechów zatrzymał się w Imbramowicach, dając tem czas Moskalom do zajęcia miasteczka. Prawdą jest, dziś już stwierdzoną, że tylko niedol-

moć wodza sprowadziła katastrofę dziejową. Zbarażając się po bitwie pod Miechowem Kurowski z niedobitkami zatrzymał się na kilka godzin wypoczynku w Szczepanowicach, gdzie bawił tylko wuj Kuciński ze służbą dworską. Dla umęczonej śmiertelnie i wygłodzonej rzeszy, spiżarnia, piwnice i wszelkie zapasy stanęły otworem, lżej ranni zostali opatrzeni; czas naglił, gdyż pościgu spodziewano się co chwila. Młodziutkiego i ciężko rannego chłopca (nazwiska nie pamiętam) umieszczono w oddalonej znacznie za dworem /cieplarni, pod dozorem naszej familijnej szwaczki Emmy Taskowskiej. Ledwie się z tem uporano a Kurowski z drużyną opuścił Szczepanowice, kierując się

w stronę Sosnówki i zniknął za górą, kiedy od strony Miechowa ukazali się Moskale. Zastawszy pustki w spichrzu i spiżarni, klęli na czem świat stoi i ruszyli w pościg, domyślając się w którą stronę wyruszyli Polacy, gdyż chłopi wymijające lub wprost fałszywe dawali wyjaśnienia. Wój[t] Kucieński swobodniej odetchnął po wyjeździe wroga, bał się bowiem, aby ciężko rannego Moskale nie wytropili; ale zmaląrł się wkrótce służbisty wójt i zażądał wydania powstańca dla odstawienia go do komendy w Miechowie. Można sobie wyobrazić przestrach i żal wuja... Wójt rozpoczął poszukiwania i znalazł biednego chłopca. Nie pomogły prośby gorące wuja, aby chłopca choć dni parę zostawić

w spokoju, twardy chłop ustąpić nie chciał. Umieszczono go na możliwie wygodnem posłaniu i wśród płaczu i konsternacyi. Służby niesiono ku Miechowu. Wuj udał się natychmiast do komendanta, chcąc dla biedaka wyprosić lepsze warunki więzienia, lecz dowiedział się na wstępie, że chłopiec w drodze zdarł wszystkie opatrunki z krwawiących ran i przywieziono do Miechowa już tylko trupa...

Stanisław Biernacki zapytywany jakim sposobem wydostał się z Wawelu na wolność uśmiechał się tylko. Z roku dowiedzieliśmy się, że aktorka teatru krakowskiego, ulubienica publiczności, powabna p. Sapkier, wyrobiwszy sobie pozwolenie odwiedzenia

Bieniackiego w więzieniu, ubrała go w swoje suknie
i jako panna Sapież wyszedł mimo straży. Sapieżka-
bo tak ją nazywano - siedziała najspokojniej
w celi; tak ją zastali stróże więzienni. Spisano
protokół i w dni kilka Sapieżkę wypuszczono na
wolność. - Stanisław Bieniacki bił się dzielnie do
końca powstania.

Synowie p. Radolińskiego bawili na którymś
z uniwersytetów niemieckich. Starszy poświęcił się
dyplomacyi; w końcu panowania cesarza Wilhel-
ma I otrzymał tytuł księcia na Radolinie, zniem-
czył się zupełnie, piastował najwyższe urzędy, był
jakiś czas ambasadorem niemieckim w Konstanty-
nopolu i cieszył się następnie łaską i przyjaźnią
osobistą Wilhelma II. Rozeszły się więc zupełnie dro-

gi życia dwóch braci ciotecznych: renegata, księcia na Radolinie i Stanisława Biernackiego, który umarł w wieku młodym.

Napływ młodzieży, organizującej się do powstania i zjazd rodzin z Kongresówki, uciekających do bezpieczniejszej przystani, sprawił, że rojno i gwarno zrobiło się w Krakowie. Życie towarzyskie rozwinęło się szeroko, lecz tylko w domach prywatnych, do teatru uczęszczali tylko nieliczni. Od r. 1861. nie tańczono już z powodu narodowej żałoby po wypadkach warszawskich. Nawet na myśl tam nie przyszło hasać, kiedy krew polska się lała i w kraj biły gromy. Przy-

wykłyśmy do sukni czarnych, a jedyną ozdobą na-
szych toalet były łańcuchy czarne, noszone na szyi,
broszki z lawy z godłami męczeństwa i krzyże spo-
re, czarne z cierniową koroną. Najmłodsze z nas
nie przykrzyły sobie tego stanu rzeczy. Zebrania
bez tańców były i tak zawsze pełne uroku. Muzy-
ka, śpiew, rozmowa ożywiona i niebanalna, czasa-
mi dla odmiany gra w naiwną pytkę, lub nawet
w „cenzurowanego", dającego sposobność do uwag
dowcipnych, wszystko to wystarczało nam zupełnie. —
Jak już wyżej wspomniałam, w domu naszym
oprócz kilku młodych ludzi, chwilowo bawiących,
powstańców młodzież nie bywała, ale widywałam
w domach innych wielu zuchów i bohaterów,

z których niejeden dał życie swoje w ofierze za ojczyznę. U p.p. Rektorstwa Stefanów Kuczyńskich poznałam genialnego artystę Grotgera i artystę-malarza Andrzeja Grabowskiego, u stryjostwa Karolów Mohrów rzeźbiarza Wyspiańskiego, Giebułtowskiego, Kaczmarskiego, Szymonowicza i Siemieńskiego. Ci czterej ostatni padli pod Miechowem. – W Krakowie przez cały czas powstania bawiły rodziny Hipolitów, Kazimierzów i Alfredów Stojowskich, krewnych moich dotąd mi nieznanych; dużo chwil miłych przeżyłam z niemi i na długie lata zadzierzgnęłam węzły serdecznej przyjaźni z Kamillą Kazimierzową ze Stojowskich i Maryą z Bogdańskich Alfredową Stojowskiemi (o nich, – jeśli mi życia starczy jesz-

cze napiszę) Alfredowa Stojowska, młoda wówczas
mężatka, gorący brała udział w sprawie powstania,
ale z rozlicznych kolizyi z austryacką władzą
zręcznie umiała się wywijać. Tropieni skrzętnie
przez policyę bracia Chodylscy z wojska tureckiego
i bracia Świerczewscy w jej domu znaleźli schro-
nienie bezpieczne. Podobno pewnej nocy gdy zadzwo-
niono do bramy w celu przetrząśnięcia domu.
Erazm Świerczewski, (później wieloletni konsul
francuzki we Lwowie) śpiący z Alfredem Stojow-
skim w jego pokoju, przebrany został za niańkę
wieśniaczkę w chustce na głowie, z podwiązaną niby
dla bólu zębów twarzą i kołysał właśnie synka
Stojowskich kiedy wkroczyła rewizya. Podstęp się

udał i szczęściem to było, gdyż p. Bzanowi groziło wydanie do Rosyi, gdzie go czekał Sybir.

Po upadku powstania, po blisko dwuletnim pobycie, krewni moi powrócili wraz z innymi do Kongresówki. Kraków opustoszał i sposępniał. Kobiety porywdziały jeszcze grubszą żałobę, t. j. białe taśmy na sukni a setki rodzin opłakiwały śmierć swoich najbliższych. W domu naszym zapanował smutek z powodu braku wiadomości o losie Stanisława Kucieńskiego a okropne wieści dochodzące nas z Warszawy o represaliach spowodowanych powstaniem, goryczą serca i dusze nam napawały. Długo łudziliśmy się nadzieją że Sta-

nisław jest w niewoli i pewnie kiedyś powróci, lub
że poszedł z Langiewiczem do Galicyi – oczekiwa-
liśmy go co dnia, co godziny, szukano go po całej
Galicyi ale daremnie... Wuj Kucieński zmienił
się bardzo; znać było u niego zgryzoty i przygnę-
bienie. Domyślaliśmy się, że on wie coś złego o losie
syna, lecz tai przed żoną i córkami. I tak też
było – niestety! Pewnego dnia, przejeżdżającego
przez Słomniki wuja K. zatrzymał tamtejszy
aptekarz, p. Maszadro i poprosiwszy go do siebie,
wręczył przerażonemu portfel Stanisława wraz
z zegarkiem. W portfelu znajdowały się legityma-
cye Stasia, oraz fotografie rodziny i narzeczonej. Ko-
zak, który te przedmioty przyniósł do apteki po-

na M. do spowiadania, z całą otwartością przyznał się, że jadąc ze swoim oddziałem, spotkawszy wóz z rannymi „matecznikami" Narodowcami, powracającymi po bitwie pod Małogoszczem, wymordowali i ograbili wszystkich. — Taki był koniec życia ostatniego z zacnej rodziny Kucieńskich, człowieka wielkich zalet charakteru i niezwykłej inteligencyi. — Prof. Tokarz w dziełku swojem p. t. „Kraków w początkach powstania styczniowego i wyprawa pod Miechów (w r. 1915). pisze, że pod Miechowem ranny był Stanisław Kucieński, co jest mylnem, gdyż Stanisław dopiero po bitwie miechowskiej wyszedł do powstania.

Pod koniec r. 1862. założył był w Krakowie przy pl. Dominikańskim, w domu pod „Trzema gąskami" Juliusz Grosse handel delikatesów. Była to pierwsza specjalność w naszem mieście. Wszelkie smakołyki, krajowe czy zamorskie w najlepszym były tam gatunku i wcale nie drogie. Nowość ta ściągała do lokalu p. Grossego mnóstwo publiczności i interes uczciwie i ze znajomością fachową prowadzony, okazał się wprost świetnym. Roiło się tam w r. 1863. od powstańców a złośliwe języki głosiły, że gdyby wszyscy, którzy jako powstańcy przesunęli się przez handel Grossego byli bili się rzeczywiście, powstanie byłoby wzięło pomyślny obrót.... Faktem jest jednak niezaprzeczonym

że podwaliną do dużego majątku p. Grosse'go stał się r. 1863. Ogromna frekwencya w ucześnie i wzorowo prowadzonym zakładzie nie ustała i w latach następnych. Firma stanęła w rzędzie pierwszorzędnych, poświęcona na handel win i towarów kolonialnych znakomitej jakości istnieje do dnia dzisiejszego (r. 1919.) i prosperuje znakomicie. Juliusz Grosse nabył wspaniałe winnice na Węgrzech w Satoralia Ujheli, a jego piwnica jest godną następczynią słynnych piwnic krakowskich Waltera, Gralewskiego i Wentzla. Dom p. p. Grossów zasłynął jako środowisko kultury i inteligencyi a salony ich odznaczały się zawsze doborowem towarzystwem, nietylko ze sfery

kupieckiej. Oboje Juliuszowie Grossowie dorodną
stanowili parę; w obejściu pełni dystynkcyi i
światli ludzie, zdobyli sobie znaczenie w naszem
mieście. 4 synów i tyleż córek byli ozdobą do-
mu. Najstarszy Juliusz, malarz portretowy wiel-
kiego talentu, po śmierci ojca porzucił sztukę
i objął renomowany handel; ożeniony jest z cór-
ką admirała Rippera. Córka Matylda wyszła za
mąż za dr. med. Dębowskiego, druga Zofia za
Stanisława Tuszczkiewicza, trzecia Marya za rekto-
ra politechniki lwowskiej Bisanza, czwarta Ema-
nuela dotąd niezamężna. Juliusz Grosse, ojciec,
dożył sędziwego wieku, zachowując świeżość umy-
słu do końca życia, a także postać prostą i

wyniosłą; odznaczał się zawsze starannem ubraniem i elegancyą wielkoświatowca. Był też szermierzem gorliwym w walce o czystość języka ojczystego; wydał broszury o przywróceniu staropolskiego zaimka „wy."

Barbara Ubryk.

Wieść o smutnym losie tej nieszczęśliwej Karmelitanki obiegła, rzec można, prawie świat cały. Niemiec, Born, autor rozlicznych „tasiemcowych" powieści, napisał o Barbarze dzieło kilkotomowe o podkładzie niby romantycznym, haftując na tej kanwie stek kłamstw, nieprawdopodobieństw i oszczerstw pod adresem zakonów polskich wogóle. Paszkwil ten tłomaczony na wszystkie europejskie języki rozszedł się szeroko po świecie. Nie brakło też na ten temat sensacyjnych dramatów pełnych przesady, zwłaszcza w Niem-

czech. — Jako współczesny świadek zaburzeń, spowodowanych w Krakowie zdarzeniem, bądź co bądź, niezwykłem a opowiem tak, jak o niem słyszałam z wiarogodnych ust.
W r. 1869. w miesiącu Lipcu nadeszło do prokuratorji państwa zawiadomienie piśmienne, że w klasztorze Karmelitanek na ul: Wesołej (dziś Kopernika) żyje od lat 20 zamurowana zakonnica. Do zawiadomienia dołączony był bardzo dokładny plan klasztornego budynku. Podobno murarz z Krzeszowic, dręczony wyrzutami sumienia, zeznał na spowiedzi u O.O. Karmelitów w Czernej, że za młodych lat został wezwany do zamurowania

okna w celi, w której miano uwięzić młodą zakonnicę. Ksiądz doradził penitentowi, aby, jeśli jest pewny tej sprawy, doniósł o niej władzy, co też murarz uczynił. Pod przewodnictwem prokuratora Gebharda stawiła się komisya o 8mej z rana w klasztorze Karm. Ówczesna ksieni, p. Węzykówna, zasłaniając się surowością reguły zakonu, wzbraniała otwarcia wstępu dalszego komisyi, utrzymując, że nie wie nic o podobnym fakcie; w końcu ustąpić musiała, nie przypuszczając zapewne, aby osoby nieznające zabudowań klasztornych mogły znaleźć skrytkę. Komisya, idąc z planem w ręku, dotarła do miejsca,

wskazanego przez murarza. Spostrzeżono ciężkie drzwi, zaryglowane z zewnątrz, z wykrojem małym w środku, przy którym była przybita deseczka, na której stawiano jedzenie dla uwięzionej. Przez ten wykrój wydobywało się powietrze bardzo niemiłe, odór wilgoci, stęchlizny i nieczystości. Po otworzeniu celi przedstawił się komisyi widok ogromnie przykry. W półciemnu, gdyż światło skąpo wpadało z części górnej szyby zamurowanego okna, w kąciku siedziała w podartej sukni, o rozczochranych włosach, brudna postać 40letniej kobiety, wylęknionej pojawieniem się w celi obcych jej ludzi. Ta zaraz

obłąkaną, po spisaniu protokołu, przeniesiono w odpowiednie miejsce z poleceniem wykąpania i ubrania chorej. Odwykła od ciepłej strawy, nie mogła z początku znosić pokarmów gorących. Wieść o tem zdarzeniu i wizycie komisyi sądowej lotem błyskawicy obiegła miasto całe. Opustoszały warsztaty i sklepy; co żyło podążyło pod klasztor, dając wyraz wielkiemu oburzeniu. Do południa już kilkunastotysięczny tłum tak groźną przybrał postawę, że zaszła potrzeba wezwania pomocy wojska dla obrony klasztoru. Brat mój starszy, Michał, naówczas lekarz wojskowy, z pogotowiem sanitarnem zajął tam

posterunek w przewidywaniu ekscesów roz-
drażnionej ludności. Zadanie wojska było
ciężkie, bo tłum nie ustępował i pogróżki
się z każdą chwilą wzmagały. Dopiero w no-
cy udało się przewieźć Barbarę do domu obłą-
kanych przy ul: Szpitalnej (dziś teatr miejski)
Inne klasztory były też w niebezpieczeństwie;
mianowicie O.O. Jezuitów, którzy uciekać
byli zmuszeni. Ukryli się w wagonach na
torze kolejowym, przechodzącym przez ich
ogród. Do 2 dni trwała ta awantura. Księ-
żnę p. Weryhównę, jadącą w zamkniętej
karecie na przesłuchanie do sądu, otacza-
ło 6 huzarów na koniach; eskorta była

konieczną.
Trudno dziś sobie wyobrazić jakie fantastyczne wieści i bajki krążyły po mieście. Ściśle prze-
prowadzone śledztwo wyjaśniło sprawę do pewne-
go stopnia i umysły poczęły się uspokajać powoli. Badania wykazały że Barbara U. po kilku latach pobytu w klasztorze popadła w ciężką histeryę; w chwilach napadów z ust jej sypały się najsprośniejsze wyrazy... Dziś osobę tak chorą oddanoby do szpitala, wten-
czas obowiązywała surowa klauzula, opiewa-
jąca, że zakonnica ani żywa ani umarła nie może wyjść ani być wyniesioną poza mury klasztorne. Nie można się dziwić, że

Karmelitanki wstydziły się wyjawić światu chorobę Barbary. Darła ona suknie i bieliznę w drobne strzępy a słowa jej rozlegały się po całem klasztornem obejściu ku zgorszeniu zakonnic i służby; wtedy postanowiono ukryć ją w celi. Natomiast jest winą zakonnic, że nieszczęśliwą waryatkę zaniedbały, pozostawiając ją służbie, której także brakło poczucia obowiązku, zwłaszcza, że długie lata trwał niespokojny stan chorej. Godnem potępienia ze strony zakonn. było, że rodzinie Barbary na zapytania czynione z Warszawy z powodu milczenia jej, odpowiadano ~~jej~~ że

B: dawno już nie żyje. Listy te, złożone
w sądzie przez krewnych, p.p. Stolzmanów,
wielce dla zakonu były obciążające...
W czasie tego słynnego procesu żyła jeszcze
arcyksiężna Zofia, matka cesarza Fran-
ciszka Józefa, osoba wielkiej dewocyi odda-
na, bardzo energiczna, mająca duży wpływ
na syna; ogólnie więc utrzymywano, że
umorzenie procesu jej przypisywać należało.
Czy zakonnicom wymierzono karę kościelną
nie jest mi wiadomem.
Działo się to w erze Bismarka i szalejącego

już pruskiego „Kulturkampfu”. Niemcy też rozdmuchali rzecz całą do olbrzymich rozmiarów, aby oczernić polskie zakony. A jedynie pewnem jest, że cały podkład romansowy, wersja o uciekaniu z klasztoru rzekomo zakochanej Barbary jest czczym wymysłem, jak wykazało śledztwo. Nigdy nie byłam i dotąd nie jestem zwolenniczką zakonów kontemplacyjnych i uważam je za przeżytek wieków średnich. Odgradzanie się kobiet młodych i zdrowych murem od nędzy i bólów świata zdaje mi się zamykaniem oczów na losy bliźnich, którym kobieta służyć może i powinna. Młod-

Te noce, psujące największy dar niebios, zdrowie, wydają mi się czemś, czego dobry Pan Bóg nie wymaga. Wogóle nie pojmuję modlitwy ciągłej i rozmyślań. Biedna Barbara stała się zapewne ofiarą życia bezczynnego. O ile znałam zakonnice, nauczycielki, wychowawczynie, gospodynie i szarytki, wszystkie były normalne, wesołe i miłe ludziom a zapewne i Panu Bogu.
Barbara żyła jeszcze lat kilkanaście, zdrowa fizycznie, utyła i nad wiek swój czerstwo wyglądała, jednak umysłowo pozostała jednako, mrucząc półgłosem nieprzytomne

słowa. Mnóstwo przyjezdnych chciało ją od-
wiedzać, zwłaszcza panie, starały się usilnie
o pozwolenie widzenia Barbary, lecz jeszcze
prędzej uciekały, gdy je witała słowami
i piosenką jaką... Nadmieniłam powyżej
że nie jestem zwolenniczką zakonów, lecz
całem sercem przyznaję polskim zakonnicom
należną im cześć; najstarsze kroniki nie
wspominają o jakichś skandalicznych
zajściach. W klasztorach polskich rzecz to
nieznana; najzagorzalszy przeciwnik przy-
znać to musi. Natomiast dawne zamieszki
w kraju, jak i obecna wojna światowa

(1914-1918 r.) wykazały poświęcenie, dzielność i bohaterstwo naszych zakonnic, że przytoczę tu, jako przykład zaimponowania wrogom w czasie inwazyi moskiewskiej ksienię klasztoru Benedyktynek w Staniątkach, Szczerbiankę i ksienię klasztoru Klarysek w Starym Sączu, Hańską, które powagą i odważnem wystąpieniem wobec dziczy moskiewskiej uratowały mienie tysięcy ludzi. Dowódca rosyjski, Bułgar, renegat Radko Dymitriew, który stał kwaterą (w 1915 r.) u mojego kuzyna Edmunda del Campo Scipio w Borzęcicach w Lubelskiem, wyraził się tak

o polskich zakonnicach: „Nasze mniszki to dragony, — czemu nasze takie nie są”....

Toast

wniesiony na pożegnalnem zebraniu młodzieży akademickiej na cześć kolegi, Michała Komara, Litwina

Już porzucasz twe mogiły,
Stary Wawel, Wisły wody,
I ziś nas żegnasz druhu miły
Do ojczystej wkunąć zagrody.

Krótkoś bawił między nami,
Jak na sinej Wiśle fale,
Co wnet tutaj się do łodzi.
To pierzchają, płynąc dalej...

I ty od nas pierzchasz wcześnie
Do twej Litwy ukochanej,
Matki wodza, mistrza pieśni,
Ziemi, Polski siostrą zwanej.

Dziś tu wszyscy cię żegnamy
Z żalem w sercu, łzą w oku,
Bo jak Litwę cię kochamy,
Jak wiarus swą broń przy boku.

Spiesz więc, spiesz do twej ziemicy
I uściskaj swych Litwinów,
A od wiernych Polski synów
Pozdrów nasze cne dziewice.

Lecz gdy „Zygmunt" nasz zadzwoni,
Hej, do broni!
Wtedy drogi nam kolego
Przybądź z Litwą na ład żwawo,
Bo czas już, czas — dość już tego...
Czas się mścić krzywd naszych krwawo!

Gottlieb r. 1862.




Isze Koło
NA POLSKIE
SZKOŁY KRESOWE

Spis rzeczy.



